

PIŁOMYK

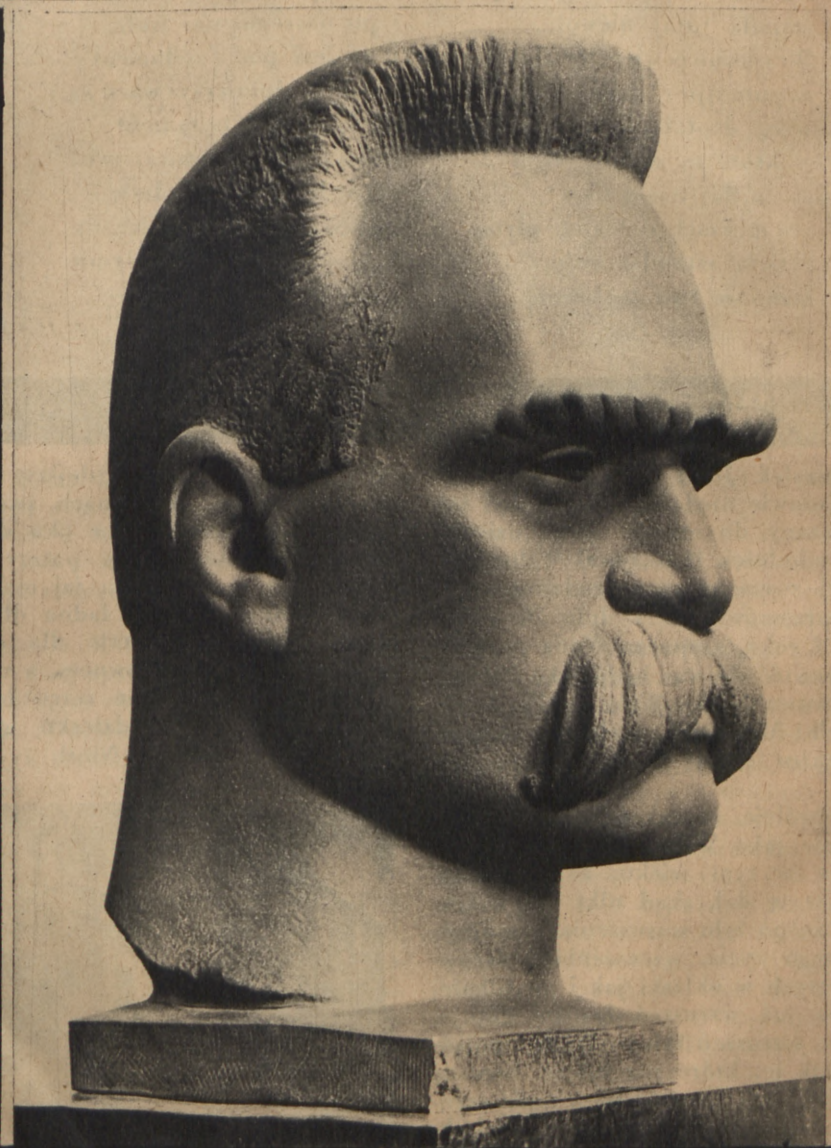
TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20

TOM II

NR. 35

WARSZAWA, 11 MAJA 1936 ROKU



RZEŻBA A. KARNEGO



Żałobna ROCZNICA

W żałoby wielkiej rocznicę
wyjdziemy w szerokie pola.
Nim On wytyczył granice
stąpała tutaj niewola...

W rocznicę wielkiej żałoby
wspomnijmy dawniejsze lata:
wróg deptał męźnych groby,
w które ta ziemia bogata...

A dzisiaj nasze okręty
po morzach dalekich płyną
i Orła sztandar święty
trzepoce nad tą krainą...

On sprawił, że z czarnoziem
wrosła po wioskach szkoła,
co uczy nas po naszymu
i po naszymu nas woła...
I on legł pod fundament
razem z żołnierzy warstwą,
ale wypełnił testament:
Polska, to jest mocarstwo!
Więc błogosławcie Imię
stolice, gminy, ziemice,
święćcie w pochodni dymie
wielkiej żałoby rocznicę...

H. Z.

WILNO, MIASTO MARSZAŁKA

Marszałek Józef Piłsudski, urodzony w Żuławie niedaleko Wilna, był tak przywiązany do miasta swego dzieciństwa i młodości, iż nazywał Wilno najchętniej swym miastem rodzinnym.

W przemówieniu w dniu 20 kwietnia 1922 roku, zaznacza Wódz narodu: „Przemawiać do was będę jako Naczelnik Państwa i jako Wilnianin”.

Wielki Marszałek, podawszy w krótkim szkicu dzieje swego miasta, po-
wiada:

„Pozwólcie, że zakończę moje przemówienie jako Wilnianin. Jestem, moi panowie w tym wieku, że spokojnie patrzę w tę dal, skąd nikt nie wraca. Wiem, że po tylu wzruszeniach mojego burzliwego życia, wzruszeniach zarówno bogatych w oklaski jak i gwizdanie, niewiele już wzruszeń los mi gotuje, niewiele wzruszeń tak wielkich i potężnych, jak te, które przeżyłem. Lecz są wzruszenia tak czyste i niewinne, wzruszenia niedłwie dziecka, które niechybnie będą jeszcze moim udziałem. Do

nich należy i dzień dzisiejszy. Jestem jak dziecko na imieninach swej drogiej matki. Bezkrytyczne oko dziecka, zachwycone matką, nie patrzy i nie pyta, jakie są sztyki na jej ciele. Czy jest brzydka, czy jest ładna dla kogo innego, jest i pozostaje dla dziecka czemś pięknym i cudownym, a w dzień jej imienin wzruszone serce bije radośnie. Więc jak to dziecko, wzruszone do głębi, wołam: Niech żyje Wilno”!



DOM, W KTÓRYM MIESZKAŁ
MARSZAŁEK



WILNO

Fot. J. Bulhak

W kilka lat później z okazji dorocznego zjazdu Legionistów, który odbywał się w Wilnie w roku 1928, Marszałek dał w całej pełni upływ swym gorącym uczuciom dla rodzinnego miasta.

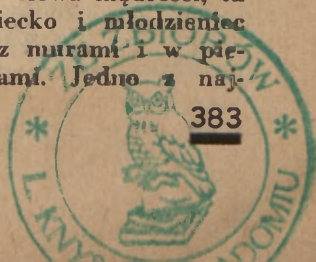
„Gdy w Wilnie mam mówić, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów, ni gorczy. Małym chłopcem biegałem tu po ulicach... Do szkoły tu chodziłem i do miasta. Uczyłem się tu przywiązywać, uczyłem się myśleć i uczyłem się kochać. Gdy więc w Wilnie mówię, nie szukam gorczy, nie wołam zgrzytów”.

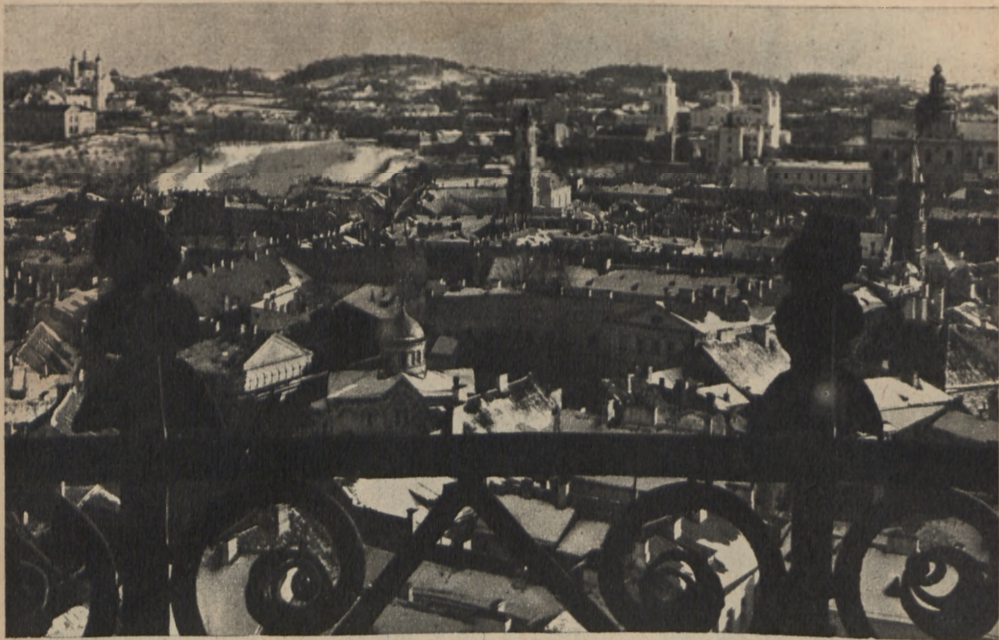
A dalej mówi Marszałek:

„I nieraz tam w Magdeburgu o Wilnie myślałem, do Wilna tęskniłem. Miłe miasto. Rzędem biegną mury, pagórki, otoczone zielenią, pieszczą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Gdy na który z pagórków się wyjdzie, ku niebu przez mgłę oparów błyszcza do góry wieżycy, wieżyczki, na których, gdy dzwony zadzwonią, niewiadomo, czy się skarżą,

czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos zanoszą. Miłe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły, miłe miasto z tyłu, tyłu przeżyciami. Miasto symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastia Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała, Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wycinał. Wielcy poeci i wieszcz, co naród pieścili słowem i w czar zakuwanymi słowami, życie narodowi dawali. Nie gdzieindziej jak tu, w tej samej szkole, gdzie ja biegałem w tych murach, pięknie wołających do Boga, uczyli się, jak ja kiedyś, w przełłętej rosyjskiej szkole.

Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa mądrości, tu wszystko, czem dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z naj-





WILNO, WIDOK OGÓLNY

fot. J. Bulhak

piękniejszych miast na świecie. I biegłem ku Wilnu pieszczotliwą myślą, tworząc sam dla siebie pieściwe pieszczoty dziecka”.

Wilno, miasto wpatrzone w okalające je malownicze pagórki, wsłuchane w melodyjną muzykę licznych dzwonów, było przedmiotem stałej troski Marszałka. Do tej sprawy powracając powtarzał:

„Sprawa wileńska to męczeństwo moje i męczeństwo wasze, to męczeństwo wspólne. Praca nad sprawą wileńską była dla mnie jedną z najważniejszych. Pracą tą najbardziej się opiekowałem, najwięcej w nią wkładałem istniejącego w każdym człowieku sentymentu. Ta praca należała do najbardziej zawiłych, do najbardziej trudnych do prowadzenia”.

„Wilno musi być moje”! — powtarzał raz po raz Wielki Marszałek. I na zjeździe w Wilnie przypomniał wielki Bojownik o wolność następujące wydarzenie:

„Szła wielkanocna pora, gdy bataljon za bataljonem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyli. I szła pogwarka wśród wiary: Komendant

nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie mu damy. Prezent wspaniały. I gdy pomyślę, że nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, jako prezent, jako pieszczota dla serca Komendanta, wieleście mi dali i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Roszie u



OSTRA BRAMA

wrót ementarzy mogiłka
za mogiłką leżą, jedna
przy drugiej, jak żoł-
nierze w szeregach ci,
co życie dali, by Ko-
mendanta serce pieścić,
to mówię, że miłem to
być serce grobem poję, serce swe
tam na Rossie kładę, by
móc spocząć z żołnierzami,
co mogli tak pie-
ścić dumnego wodza
czoło, co mogli tak ży-
cie dawać jedynie dla
prezentu”.

I serce Wielkiego
Wodza, Ojca żołnierzy
znalazło się istotnie w
Wilnie, by już niezadługo spoczęło
u stóp ukochanej matki, wśród umiło-
wanych żołnierzy, którzy złożyli swe



KOŚCIÓŁ ŚW. STANISŁAWA

mlode życie w ofierze, by ukochanemu
Komendantowi dać w podarku miasto
jego marzeń i tęsknot.

frs.



Pamięci Marszałka JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Myslą o Tobie polskie dzieci
nad książką siedząc w wiosny czas,
lecz choć nam słonko pięknie świeci
żał wielki, smutek gnębi nas.

Odszedłeś Wodzu w wiosnę nową.
żałobą kryjąc Polskę Twą—
jakże Cię uczcić prostą mową,
jakże przekazać młodym snom?

Będiesz nam zawsze Wielką Mocą,
Siłą, co Naród budzi swój.
Tobie sztandary załopoczą
chwaląc bitewny trud i znoj.

Piosenkę Tobie zaśpiewamy
dziecięcym głosem zwartym w chór
i jeszcze mocniej pokochamy
łan polski, rzekę, las i bór!

I przyrzekniemy dzisiaj Tobie,
ku niebu wznosząc miljon rąk,
że choćby przyszło legnąć w grobie
nie damy naszych lasów, łąk!

Niechaj się niesie głos nasz młody,
aż do Wawelu pięknych bram,
gdzie w trumnie leżysz kryształowej
w siwym mundurze, smutny, sam.

Z głosu naszego wzrośnie siła
nieprzemierzona, niczem stal
i ogniem wielkim będzie biła
od Tatr, aż do Bałtyku fal!

Zenon Koterba-Dziuban

W JEGO MIEŚCIE

Nie wiem, czy wszyscy znacie Wilno.

Ale napewno wszyscy już wiecie, czym jest obecnie Wilno dla całej Polski. Obok Krakowa, gdzie wśród królów spoczął na wieki nasz ukochany Wódz, Marszałek Józef Piłsudski, najbliżej naszego serca leży Wilno.

Wilno — Jego miasto.

Wszak tam, jak o tem czytaliście w „Płomyku”, znajduje się, złożone czasowo w kościele Św. Teresy, obok kaplicy Ostrobramskiej, serce Marszałka, ofiarowane Matce, której prochy, sprowadzone aż z dalekich Sugint, spoczywają w dolnej krypcie tegoż kościoła.

12 maja, zgodnie z przedśmiertną wolą Marszałka Piłsudskiego, prochy Matki i Serce Syna będą pochowane na wileńskim cmentarzu, na Rossie. Wśród wiernych żołnierzyków, którzy w walce o wyzwolenie Wilna oddali swe młode życie, szczęśliwi, że mogli ofiarować Wilno Polsce i swemu ukochanemu Wodzowi.



DRZEWO MICKIEWICZA



MATKA BOSKA OSTROBRAMSKA

Byłem niedawno w Jego mieście. Chodziłem po spokojnych wileńskich uliczkach i zaułkach i, wydawało mi się, że słyszę wszędzie cichy, radosny szept:

— Wrócił do nas... Wrócił do nas i pozostanie na zawsze.

Tak. Marszałek Józef Piłsudski szczególnie ukochał Wilno. Wiemy o tem wszyscy. Przecież tu upłynęły Jego lata chłopięce. Tu się uczył i rozpoczął pierwsze swoje walki o wyzwolenie Polski i Wilna. A potem, gdy ukrywać się musiał przed żandarmerją rosyjską, często wpadał do Wilna, narażając się każdej chwili na aresztowanie i zesłanie na Sybir. Miłość do rodzinnego miasta przewyciężała jednak wszelkie obawy.

Miłość do rodzinnego miasta.

Marszałek Piłsudski pozostawił nam tysiąc dowodów swego ukochania Ojczyzny, której służył przez całe życie aż do ostatniego tchu. Jest dla nas wzorem rycerza bez trwogi i skazy, wzorem najlepszego syna. Wiecie o tem dobrze



Z WILNA

fol. J. Bulhak

wszyscy. Lecz powinniście i to wiedzieć, że Pan Marszałek w sposób przedziwnie wzruszający umiał połączyć miłość Ojczyzny z ukochaniem rodzinnego miasta, gdzie żyli Jego Rodzice, gdzie się kształcił, gdzie spędzał lata młodości. Ze szkoły wyniósł najgorsze wspomnienia, bo była to szkoła obca, wroga Jego uczuciom patriotycznym, ale dla miasta rodzinnego, dla Wilna, które Mu było i domem i szkołą, zachował do końca życia najtkliwsze uczucia.

Zapamiętajcie to dobrze, Wy — mieszkańcy Warszawy, Krakowa, Poznania, Lwowa i tysięcy miast, miasteczek i wsi polskich, które są świadkami waszych nauk w murach własnej, polskiej szkoły, waszych dziecięcych pragnień i marzeń.

Chodziłem po ulicach Wilna, wsłuchując się w szepty cichych ulic i zaułków. Prowadziłem ciekawe gawędy z tamtejszymi ludźmi. Wrażenia bolesnej straty, jaką poniosła cała Polska, są tam szczególnie silne i świeże. Oto rozmawia ze mną siwa staruszczyzna, zamieszkała na Placu Napoleona, niedaleko pałacu reprezentacyjnego, w którym zatrzymywał się Marszałek Piłsudski ilekroć przybywał do Wilna.

— Nie mogę uwierzyć — mówi cichym głosem — że już Go nie zobaczę nigdy.

— A często widywała Pani Marszałka? — pytam.



ULICZKA

— O, tak — odpowiada mi. — Mieszkam przecież tuż. Bywało, patrzę, chodzi po tarasie, przystaje, odpoczywa. Albo z okna obserwuje Wilno. Gdy nadchodził dzień 19 marca, byłam zawsze pewna, że Go zobaczę stojącego przy oknie, albo spacerującego po tarasie. Marszałek kochał nasze Wilno — kończy cicho starszka.

Kieruję się w stronę ulicy Wielkiej, która zaprowadzi mnie do najświętszego w Wilnie miejsca — kaplicy Ostrobramskiej, gdzie króluje Ta, której wizerunek spoczywa dziś w trumnie Marszałka Józefa Piłsudskiego — Matka Boska Ostrobramska. Dziwna to kaplica i pewnie jedyna w Europie, gdyż kryta jest — sklepieniem niebios. Kaplica pod gołym niebem.

Zatrzymuję się przed wejściem do dolnego kościoła św. Teresy, tuż przy kaplicy Ostrobramskiej. Grupa kobiet w białych chustkach na głowie rozmawia szeptem, zaglądając przez kraty do ciemnego wnętrza kościoła.

— Patrzajcie — słyszę — tu leży Jego Matka. Chciał być przy Niej i po śmierci. Dobry Syn.

— A te dwie trumienki, złożone przy Matce?

— To też Jej dzieci.

— Biedactwa. Tak wcześniej pomarli.

— A widzieliście, jak w górnym kościele żołnierze stoją na warcie?

— Tak. Tam jest Jego serce.

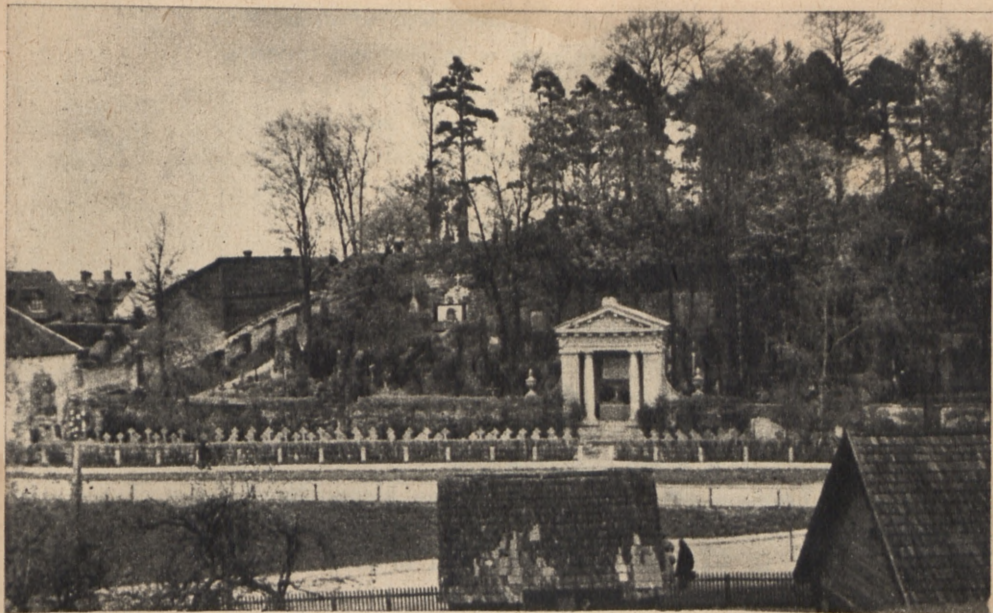
Odchodzę cicho, udając się do kościoła. Po prawej stronie od wejścia, wśród stosów kwiatów, stoją nierucho-



ZAULEK BERNARDYŃSKI

fol. J. Bułhał

mo, niby posągi, dwaj żołnierze w postawie na baczność. Z wysokiego sklepienia spływają dwa olbrzymie skrzydła krepy. A tuż nad wieńcami, tablica z prostym krzyżem, za którą kryją się najdroższe relikwie — serce Marszałka Józefa Piłsudskiego. W kościele moc kłęczących dzieci, kobiet w białych chustkach na głowie, oficerów i żołnierzy i tłumu takich jak ja turystów. Wszyscy po krótkiej chwili modlitwy wychodzą stopniowo z kościoła i giną w cichych zaułkach i ulicach Wilna. Ponieważ jest wczesny ranek, więc jedni śpieszą do pracy, a inni, ci, co tu przybyli zdaleka, udają się w dalszą wędrówkę po ulicach Jego miasta.



CMENTARZ NA ROSSIE

Idę wraz z nimi.

W Wilnie jest moc pamiątek po wielkich naszych bohaterach narodowych. Oto oglądam dom, w którym mieszkał Adam Mickiewicz, nim wyjechał z Wilna już nazawsze. O kilka ulic inny dom, gdzie powstała „Grażyna”. Wpobliżu Ostrejbramy b. klasztor Bazylianów, gdzie znajduje się cela, w której Mickiewicz był więziony, cela upamiętniona w słynnych Mickiewiczowskich „Dziadach”.

Bardzo często, chodząc po ulicach, spotykam białe tabliczki z prostymi na-

pisami, wmurowane w ściany cichych domów:

- Tu mieszkał Mickiewicz.
- Tu mieszkał Słowacki.
- Tu mieszkał Józef Piłsudski.

Mówią mi:

— Niech Pan pójdzie jeszcze na ulicę Św. Anny, a potem na ulicę Bakszty. Zobaczy Pan domy, w których On mieszkał, żył, wychowywał się...

Wilno żyje wspomnieniami o Nim, chowa we wdzięcznej pamięci wszystko, co dlań uczynił.

Jerzy Karbowski



ROK TEMU

Rok temu, pamiętacie dobrze, i ja z wami,
Jak zwykle witałyście mnie uśmiechem zdala,
Jak zwykle mały Janek zalewał się łzami,
Że o minutę wcześniej przed nim przyszła Hala.
I tak wszystko jak codzień w dziecięcym zwyczaju,
A dzień był wonny, jasny, jak zazwyczaj w maju.
I nagle wieść przebiegła, niby błyskawica,

Wieść krew mroząca w żyłach, wstrzymująca tętno —
 O wiem! patrzycie ze mną w tę chwilę pamiętną,
 Gdy śmiertelną bladością powlokły się lica,
 A myśli rozpierzchały w niewiary rozterce.
 Czy możliwe, by Wielkie bić przestało Serce?
 Czy możliwe, by odszedł nazawsze w zaświaty
 Ten, któremu niedawno pisałyście wiersze
 Składałyście laurki, życzenia i kwiaty,
 I serca kwiatom równe, lecz uczuciem świętsze.
 Rozświergotana zawsze, niby wróbbi stado
 Skamieniałaś w milczeniu dziecięca gromado,
 I to było silniejsze nad wszystkie rozpacz.
 Łzy ból koją, nie cierpi tak bardzo, kto płacze.
 Widziałam wasze oczy utkwione — w Portrecie,
 Zdumione oczy dziecka, co pojąć nie zdoła,
 Że śmierci się nie oprze nikt, gdy nań zawoła,
 I że to jest udziałem wszystkich ludzi w świecie.
 A potem, kiedy przeszła pierwsza bólu siła,
 Mówiłam wam, że życie tego Bohatera —
 Miłość — praca dla Polski — unieśmiertelniła,
 W czynach Jego się dla Was testament zawiera,
 I że, duch żyje wiecznie — chociaż czoło w trumnie.
 Chłonełyście me słowa wdzięczne, a rozumne,
 I w błysku waszych ocząt operlonych łzami,
 (Wiem i wierzę, że blaski nie były zwodnicze)
 Poznałam i przypomnieć wam chcę w tę rocznicę,
 Żeście postanowili iść — Jego śladami.

Nela Krzepkowska

TAM, GDZIE MARSZAŁEK ODPOCZYWAŁ

Siedzimy na wzgórzu nad Niemnem, zapatrzeni w przezroczysty błękit, który nas otacza. Nad naszemi głowami szumią sosny, mocno pachnie rozgrzana żywica i praży gorące, lipcowe słońce. Pod stopami — fale z pluskiem uderzają o złoty piasek plaży i też coś szemrzą, coś opowiadają...

Od czasu do czasu przemknie żaglówka, lub chyżo przewinie się kajak. Błyszczą w słońcu wiosła, miarowo i równo rozcinające błękit wód...

Zadzwonią w powietrzu wesołe głosy i śmiech. A potem znowu cisza.

Tylko sosny szumią, tylko fale szemrzą... Gorąco, sennie...

Siedzimy rozleniwieni, zmęczeni upałem, zachwyceni otaczającym nas pięknem. Przez zmrużone powieki patrzę na przeciwny brzeg, na zwały sypkiego piasku i ciemny, prawie czarny bór.

— Litwa! — mówię leniwie. Halinka jakby tylko czekała na jakieś słówko z mych ust.

— Właśnie myślę, mamusiu, że to tak blisko, tak strasznie blisko! Zdaje się — wystarczy rękę wyciągnąć. A gdybyśmy łódką przepłynęli na tamten brzeg i zwiedzili ten śliczny las, to co by było, tatusiu? — zwraca się do ojca.



DRUSKIENIKI

Tatusz roześmiał się:

— Spróbuj! odrazu by ciebie szaulisi złapali za nielegalne przekroczenie granicy. Zapomniałeś co wczoraj spotkało nasz statek i jego pasażerów?

Polski statek spacerowy, który wyruszył wczoraj z kuracjuszami na małą przejażdżkę po Niemnie, miał rzezywiście niemiłą przygodę.

Chcąc wyminąć mieliznę, skreślił tak niefortunnie, że odrobinę przekroczył pas graniczny. Został za to natychmiast zatrzymany przez Litwinów.

Pasażerów wysadzono na brzeg, gdzie musieli kilka godzin czekać na przybycie władz litewskich. Dopiero po dokładnem wylegitymowaniu zostali zwolnieni i mogli powrócić do Druskienik.

— Jakże to dziwne — mówi zamyślona Halinka. Pół Niemna należy do Polski, a pół do Litwy. Lepiej chyba nie oddalać się za bardzo od brzegu, bo nigdy niewiadomo kiedy się przekroczy granicę.

— Patrzcie, patrzcie: szaulisi! — woła nagle Marjan. Rzezywiście — sąsiednim brzegiem wolno przechodzi strażnik litewski. Widzimy wyraźnie jego zielonkawy mundur i ogorzałą twarz. Zatrzymał się naprzeciw nas, usiadł na

kamieniu i zabiera się do skręcania papierosa.

— Upozował się, jak do fotografii; żeby go tak uwiecznić — mówię.

— Przecież mamy aparat ze sobą! — woła Halinka. — Niech tatuś go sfotografuje!

Tatusz nie każe się długo prosić, sam chciałby chwycić szaulisa na kliszę. Ale nic z tego. Bo właśnie nadchodzą nasi polscy strażnicy z K. O. P-u.

Zbliżyli się do nas, salutują i grzecznie proszą o schowanie aparatu, oraz lornetki, przez którą przyglądam się szaulisowi. Nie wolno. Z Litwinami nigdy nic nie wiadomo. Mogą mieć pretensje, mogą nawet rozpocząć strzelaninę. Lepiej nie dawać powodu do zatargu.

Trudno! Musimy zrezygnować.

Halinka jest trochę zmartwiona, że zdjęcie nie doszło do skutku, ale po chwili uwagę jej, skierowaną na litewską stronę, przykuwa mała dziewczynka w białej chusteczce. Otoczona gromadką owiec, wychodzi z lasu i biegnie z góry nad wodę.

— Ciekawam, czy to Litwinka?

Jakby w odpowiedzi pastuszka zaczyna głośno śpiewać po polsku.

— Polka! Polka! — cieszy się Hala.

Przypatrują się teraz sobie nawzajem z ciekawością: Halinka i mała pa-



DOMEK, W KTÓRYM MIESZKAŁ MARSZAŁEK

stuska z litewskiego brzegu, rozdzielone szeroką wstęgą Niemna.

— Jak tu ślicznie! — mówię po chwili, nawpół do siebie. — Gdy patrzę na to wszystko, mimowoli przychodzą na myśl słowa Marszałka:

„Druskieniki, to najpiękniejszy uśmiech Stwórcy”.

Halinka zrywa się nagle na równe nogi. Zapomniała o Litwie, o pastuszcze, o szaulisie, słowem o wszystkim.

— Mamusiu! — woła — przecież mieliśmy dziś zwiedzić willę Marszałka!

— Prawda! Najwyższy czas udać się do skromnego domku na Pogance.

Zbieramy się szybko, gorączkowo.

Pastuska na litewskim brzegu, widząc, że odchodzimy, posyła nam rączką pozdrowienie i krzyczy: — dowidzenia! dowidzenia! Przyjdźcie jutro znów!

Przez piękny park zdrojowy, przesycony aromatem róż i kwitnących lip, przez mostek na Rotniczance, wąskiej rzeczulce o malowniczych brzegach, wydostajemy się na Pogankę.

Otóż i tak zwana przez wszystkich „willa Marszałka”. Tu mieszkał podczas swego pobytu w Druskienikach. Skromny, szary domek w ogrodzie, azafirowe okna, duża, długa weranda.

Zatrzymujemy się niezdecydowanie przed ogrodzeniem. Bramka jest oczywiście zamknięta, trzeba więc poszukać dozorczy i poprosić go o pozwolenie zwiedzenia willi.

Po krótkiej naradzie postanawiamy wydelegować Marjana na poszukiwanie dozorczy, reszta zaś naszej gromadki czeka tu, bo mały Daneczek jest zmęczony i zaczyna trochę marudzić.

Na wysokim brzegu Niemna, zaraz naprzeciw szarego domku, stoi prosty drewniany stolik, a przed nim również skromna i niepozorna ławeczka. Zbliżamy się do niej, ale nie siadamy. Okrążamy ją tylko z uczuciem jakiegoś dziwnego wzruszenia i szacunku. Jest to bowiem ulubiona ławeczka Marszałka. Tu spędzał długie godziny, wpatrzony w błękitny Niemen, tu już o wschodzie słońca widywali Go rybacy, jak siedział, wsparty o stolik, zadumany, lecz uśmiechnięty do swoich myśli, które musiały być nie mniej piękne od otaczającej Go przyrody.

Lokujemy się na trawie opodal i milczymy wzruszeni. Na niepozornej ławeczce majaczy cień Wielkiego Marszałka.

Tymczasem nadechodzi Marjan z dozorcą. Sympatyczny staruszek po krót-

kich pertraktacjach zgadza się zadośćuczynić naszej prośbie.

Halinka aż podskakuje z radości i pędzi naprzód, „bo to nic niewiadomo, jeszcze się gotów rozmyślić”.

Ale się nie rozmyślił.

Zgrzytnął klucz, zaskrzypiała furtka i z bijącymi sercami wchodzimy do ogrodu.

— Gdzie jest Dewajtis, mamusi? Gdzie Dewajtis? — pyta gorączkowo Halinka, rozglądając się naokoło.

— Dewajtis? To ten będzie — objaśnia nasz przewodnik, wskazując wielki, stary dąb o rozłożystych gałęziach.

— Pan Marszałek tu często przesiadywał, a teraz po Jego śmierci pobrano stąd ziemię na kopiec.

Rzeczywiście, u stóp potężnego drzewa widzimy świeżo rozkopaną grudę piasku.

— Na tej werandzie spacerował zawsze Pan Marszałek przed snem — opowiada dalej staruszek, wchodząc na ganek, by otworzyć nam drzwi mieszkania.

— Tu, w środku, wszystko pozostało jak za życia Pana Marszałka. Całe urządzenie na swoim miejscu — ciągnie, czyniąc zapraszający ruch.

Wchodzimy. Mój Boże! Jak skromnie, jak bardzo skromnie mieszkał Wiel-

ki Marszałek na wywczasach w swych ukochanych Druskienikach!

Trzy niewielkie pokoiki...

Koszykowe mebelki, tapczan i kilka prześlicznych pejzaży w saloniku, łóżko z małym stolikiem obok w sypialni, oraz trochę krzeseł i stół w stołowym pokoju — to wszystko. Urządzenie proste, prawie ubogie.

Wilgotnemi oczami rozglądamy się dokoła, chodzimy cichutko na palcach i rozmawiamy szeptem, jak w kościele.

Dozorca opowiada nam tymczasem, że po drugiej stronie domu znajduje się kuchenka i pokój lekarza Pana Marszałka.

Kancelarja mieściła się w drugim domku, w głębi ogrodu i tam też mieszkali adjutanci.

— Jak spędzał czas Pan Marszałek? — zapytuję po dłuższym milczeniu.

— Pan Marszałek przyjeżdżał do Druskienik na odpoczynek — odpowiada dozorca. — Większą część dnia spędzał na swej ulubionej ławeczce nad Niemnem, albo w łasku na Pogance. Tam przychodziły do Niego dzieci z kolonji, z którymi bardzo lubił rozmawiać. Czasem chodził do parku posłuchać muzyki.



ŁAWKA MARSZAŁKA NAD NIEMNEM

Dobry był Pan Marszałek! Dobry i nie hardy. Bywało, nieraz gdy pracowałem w ogrodzie, podejdzie, popatrzy, o coś się zapyta. Tylko, że ja wtedy zawsze języka w gębie zapominałem, bo nie miałem śmiałości z takim wielkim człowiekiem rozmawiać! A teraz, mój Boże, już nie żyje! Szkoda, szkoda Pana Marszałka!

Głos starego dozorcę załamuje się, a oczy łśnią podejrzenie. Milczymy wszyscy chwilę, bo gardła mamy jakby zaschnuowane. Nawet gadatliwa Halinka zamilkła, nawet mały Daneczek przycichł, a jego błękitne oczka patrzą poważniej, niż zwykle.

Gdy znowu wyszliśmy do ogrodu,

pocziwy staruszek schylił się i zerwał jakiś drobny, czerwony kwiatek, rosnący na kłombie pod oknami domku.

— To na pamiątkę, z ogrodu Pana Marszałka — mówi zażenowany, podając mi kwiat. Podziękowałam.

Powoli, ociągając się idziemy ku bramie. Słońce już zachodziło... Dewaj-tis szumiał swą prastarą pieśń o litewskich borach...

Dziwna słodycz i spokój rozlane były w powietrzu...

Rzuciłam jeszcze jedno spojrzenie na szary domek i zdawało mi się przez chwilę, że za rozłożoną pożarem zachodu szybą mignął marsowy profil i siwa, strzelecka kurtka.

Anna Rudawcowa



Dziś cała nasza ziemia
smutkiem głębokim okryta —
— Wielką, żalobną rocznicę
obchodzi Rzeczpospolita.

Wiosna polami kroczy,
drzewa kwiatami się bielą,
a nasz Kochany Marszałek
spoczywa na Wawelu.
Długo się trudził dla kraju
i granic dzielnie bronił,
dlatego serca polskie
pamiętać będą o Nim.
Wodzu!
Imię Twoje zostanie wśród nas
najpiękniejszą o Czynie legendą,
którą ojcowie synom,
synowie wnukom —
ze czcią powtarzać będą.

(Słychać śpiew, wchodzi chłopcy)

CHŁOPCY:

Hej! Marszałku, Wodzu drogi,
choć leżysz w grobie,
nasze serca i marzenia
zawsze są przy Tobie.
Żyjesz duchem między nami
i żyć będziesz jak teraz,
gdyż Bohater w sercach chłopców
nigdy nie umiera.

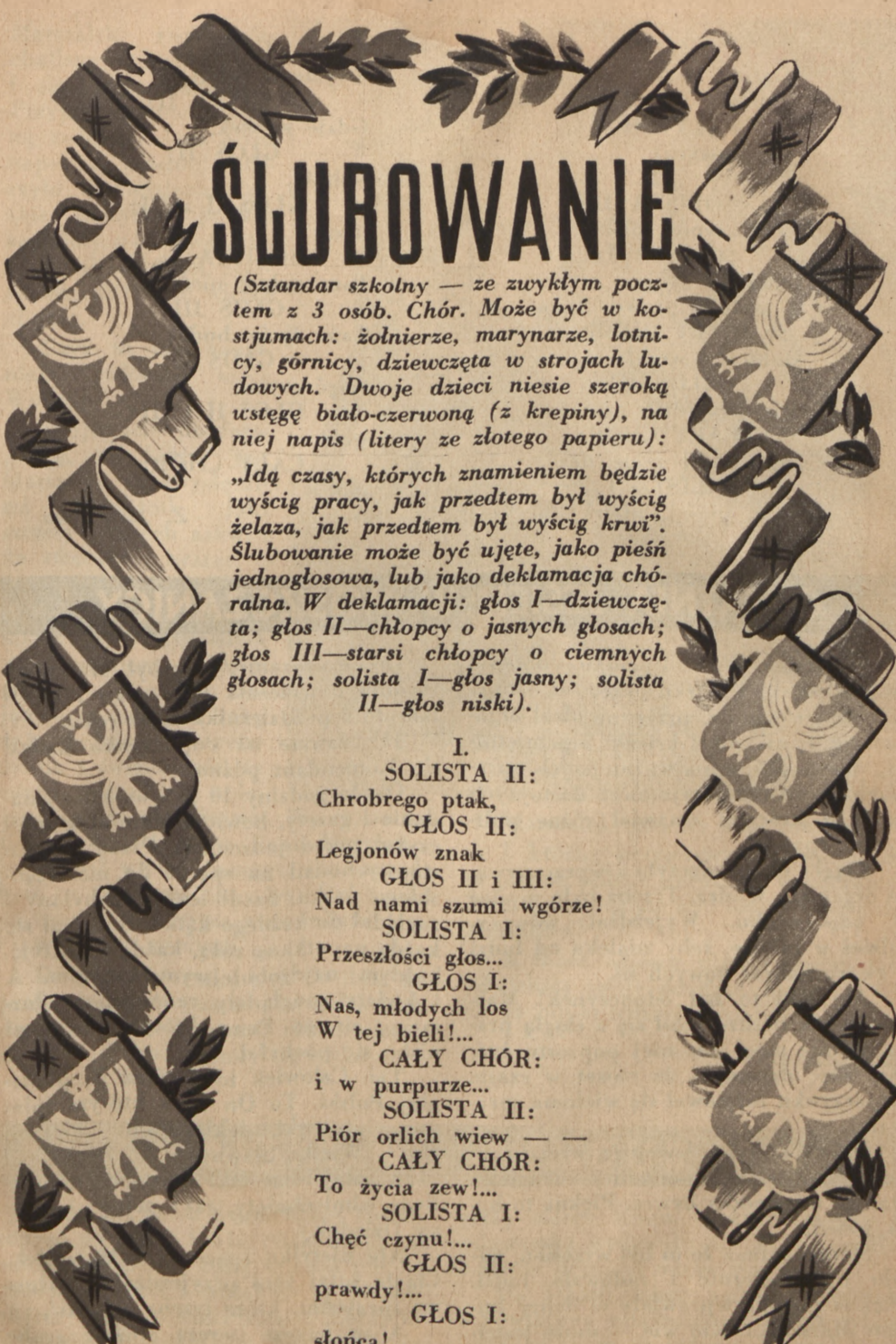
JEDEN Z CHŁOPCÓW:

Kto nam wywalczył Wolność
i dawną przywrócił chwałę?

.CHÓR:

To On, to On
Waleczny, Wielki Marszałek
(po chwili)
Chwycił się z losem za bary
i w wysiłku nadludzkim
wyrąbał granice Poleki
Marszałek Józef Piłsudski.

St. Aleksandrzak



ŚLUBOWANIE

(Sztandar szkolny — ze zwykłym poczem z 3 osób. Chór. Może być w kostjumach: żołnierze, marynarze, lotnicy, górnicy, dziewczęta w strojach ludowych. Dwoje dzieci niesie szeroką wstęgę białą-czerwoną (z krepiny), na niej napis (litery ze złotego papieru):

„Idą czasy, których znamię będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi”. Ślubowanie może być ujęte, jako pieśń jednogłosowa, lub jako deklamacja chóralna. W deklamacji: głos I—dziewczęta; głos II—chłopcy o jasnych głosach; głos III—starsi chłopcy o ciemnych głosach; solista I—głos jasny; solista II—głos niski).

I.

SOLISTA II:

Chrobręgo ptak,

GŁOS II:

Legjonów znak

GŁOS II i III:

Nad nami szumi w górze!

SOLISTA I:

Przeszłości głos...

GŁOS I:

Nas, młodych los

W tej bieli!...

CAŁY CHÓR:

i w purpurze...

SOLISTA II:

Piór orlich wiew — —

CAŁY CHÓR:

To życia zew!...

SOLISTA I:

Chęć czynu!...

GŁOS II:

prawdy!...

GŁOS I:

słońca!...

GŁOS III:

W purpurze łni

GŁOS I:
 ofiarnej krwi
 zaklęta
 CAŁY CHÓR:
 moc płonąca!
 II.
 SOLISTA II:
 Snuć czynów nie...
 SOLISTA I:
 Radośnie żyć!
 W miłości prawdy trwać
 CAŁY CHÓR:
 Ślubujmy wraz!
 GŁOS III:
 Gdy przyjdzie czas —
 CAŁY CHÓR:
 Dla Polski życie dać!
 SOLISTA I:
 Płyn, pieśni, płyn!

GŁOS I:
 Zwycięska płyn,
 SOLISTA II:
 Gdzie smutek,
 GŁOS II:
 słabość,
 GŁOS II i III:
 noc...
 SOLISTA I:
 Tam radość nieć!
 GŁOS III:
 Tam życie budź!
 GŁOS I:
 Chęć czynu,
 GŁOS II i III:
 wolę,
 CAŁY CHÓR:
 moc!

Z. Jaczevska

OSTATNIA JESIEŃ W MOSZCZANICY

Marszałek bardzo rzadko odpoczywał. A przecież ciężko pracował. Odbywał długie narady, przeprowadzał organizację armji, pisał książki i pamiętniki, decydował w najważniejszych sprawach Państwa, przyjmował dostojnych gości, z którymi omawiał różne polityczne sprawy.

Ciągła praca męczyła i wyczerpywała organizm Wodza. Trzeba było myśleć o odpoczynku. Wyjeżdżał wówczas gdzieś w zacisze, żeby zdaleka od ludzi i gwaru nabrać nowych sił.

Ale jaki to był odpoczynek! Marszałek tak bardzo zrósł się z ciągłą pracą, że nie mógł bez niej poprostu żyć. Nic więc dziwnego, że nawet w czasie odpoczynku zajmował się wieloma sprawami.

Ostatnią jesień swojego życia spędził Marszałek w Moszczanicy, niedaleko starego miasteczka Żywca. Piękna to była jesień.

Słońce, mimo, że to był wrzesień, paliło niemiłosiernie i radowało ludzi. Piękna pogoda wprawiała w dobry humor Marszałka. Kto wie — może jesień dlatego tak obficie darzyła Marszałka swymi darami, że była ostatnią jesienią Jego życia? Ostatnią jesienią...

Do Moszczanicy przybył Marszałek w dniu 8 września 1934 roku i bawił tam do 8 października tegoż roku.

Jak zawsze na odpoczynku budził się Komendant późno.

Około godziny 10 przynoszono śniadanie i gazety, bowiem Marszałek lubił czytać przed jedzeniem. Przed dwunastą wychodził na spacer do moszczańskiego parku. Szedł lekko pochylony i zaglądał do każdego kąta. Radował się każdą napotkaną różą, każdą nasturcją, każdym najdrobniejszym kwiatem. A i kwiaty spoglądały radośnie na starszego, siwego Pana, który nad nimi nisko się pochylał.

Ten Człowiek to Twórca Niepodległej Polski. To On — o którym śpiewano piosenki, deklamowano wiersze. On — Wielki, Sławny.

A tutaj idzie taki spokojny, dobrotliwie uśmiechnięty, taki dobry, kochany Dziadek.

Ale nie tylko spacerował Marszałek. Ciągłe tutaj ktoś przyjeżdżał z ważnymi sprawami, które trzeba załatwić.

A tu jeszcze sterczą groźnie grube książki i stosy papierów czekających na swoją kolej.

W dniu 30 września przyjął tutaj

Marszałek zwycięzców challenge'u kpt. Bajana i sierżanta Pokrzywkę. Przyjął ich z nieukrywaną radością. Jego serce napewno mocniej uderzyło w piersiach. Polskie skrzydła, polskie samoloty, o budowę których tak zabiegał Marszałek, okryły się wielką chwałą.

Czyż to nie napęniało radością serca Wodza?

Spojrzyjcie na fotografię, na której jest Marszałek ze zwycięskimi lotnikami. Jaki szczerzy uśmiech zakwitł na zmęczonej twarzy.

Nie więc dziwnego, że dla Bajana ten uśmiech był najmiłszym wspomnieniem. „Odjeżdżamy — pisze kpt. Bajan — wioząc ze sobą najpiękniejsze wspomnienia i świadomość, że wśród wszystkich radości nie było piękniejszej. Nie to, że byliśmy przyjęci przez Pana Marszałka, bo to był wielki zaszczyt, ale nagrodą było to, że potrafiliśmy wywołać na Jego twarzy taki wyraz zadowolenia i taki serdeczny uśmiech”...

Do 8 października t. j. do dnia odjazdu cieszył się jeszcze Marszałek piękną pogodą. W blaskach słońca złączyły się liście drzew, mieniły się kwiaty.



Marszałek czuł się zupełnie dobrze.

I któżby przypuszczał wówczas, że ta piękna polska jesień nad moszczanickim polem miała być ostatnią jesienią Marszałka?

A może właśnie dlatego jesień tak odwlekała swoje odejście. Może... Któż na to odpowiedzieć potrafi?

St. Aleksandrak

BŁĘKITNY MUNDUR

Dużo jest miast i miasteczek rozrzuconych po całym kraju. Niektóre są tak odległe, że nawet kolej żelazna nie dochodzi do nich i oddalone są od najbliższej stacji o kilkadziesiąt nieraz kilometrów. Zwłaszcza w pierwszych latach po odzyskaniu Niepodległości, gdy sieć kolei żelaznych nie obejmowała je-

szcze całego kraju, niektóre miasta i miasteczka wydawały się jakby zapadłe i zabite deskami od świata.

Do takich miast należało również i powiatowe miasteczko K. Była tylko linja kolejowa w jednym kierunku — do Warszawy, a okoliczne miasta zupełnie pozbawione były komunikacji. Nie



było wówczas linji kolejowej z K... i do Płocka.

Było to w kilka lat po odzyskaniu Niepodległości, w 1923 lub 24 roku. Nie wyświetlano jeszcze w kinie kronik tygodniowych P. A. T.-a, odzwierciedlających życie w Warszawie i kraju. Nie było jeszcze i radja. Cóż więc dziwnego, że nudziło nam się i ciekawi byliśmy świata. Zazdrościliśmy też uczniom ze stolicy, którzy mogli codziennie niemal widzieć wielkich ludzi i obserwować historyczne zdarzenia.

Aż tu któregoś pięknego poranku (był koniec kwietnia) powiadają nam w gimnazjum, że idziemy na dworzec kolejowy oddać honory Marszałkowi Piłsudskiemu, który ma przyjechać pociągiem z Warszawy. Rzecz mianowicie w tem leżała, że Marszałek Piłsudski udawał się do Płocka i na stacji w K. musiał wysiąść z pociągu, gdyż do Płocka nie było jeszcze wówczas drogi żelaznej. Dalszą więc drogę z K. miał Pan Marszałek odbyć automobilem.

Całe gimnazjum w jednej chwili ogarnęła jakby gorączka. Żywo zabiły serca, lecz bardziej może od nich gorączkowało się nasza wyobraźnia. A już do najwyższych stopni dochodziła gorączka wyobraźni na myśl, że to może

pierwszy i ostatni raz widzimy Piłsudskiego, bo gdzieżby tam jeszcze zawiątał do takiego K. i poco?...

Tak myśleliśmy, krocząc czwórkami w stronę dworca. Było pięć minut po ósmej na ratuszu. Na przedzie najwyżsi koledzy z ósmej klasy nieśli sztandar gimnazjalny, a za wszystkimi na końcu wlekliśmy się my — „pierwezacy”. Zauważyliśmy, że za nami szła już pensja żeńska pani Jelskiej, a gdzieś daleko i szkoła powszechna.

Do dworca było niedaleko. Na miejscu utworzono ze wszystkich szkół szpaler, ciągnący się daleko od stacji. Jasny poranek grzał się na świeżem, kwietniowem słońcu. Na wieży dworcowej powiewała biało-czerwona chorągiew, odbijając się od błękitnego nieba. Była już godzina 8.30. Przez cały czas czekaliśmy w milczeniu. W małym ogródku kolejowym zgraje wróbli zaczęły klócić się zawzięcie:

— „Dzie-dzie, dzie-dzie, je-dzie, je-dzie, je-dzie”...

— „Je-dzie? Jest już! Jest już! Spójrz, spójrz, o tam, ooo-dzie-dzie-dzie, i-dzie, i-dzie”...

Wychowawcy dali nam znak, że pociąg stanął już na peronie. Zza płotów oddzielających peron widać było dym

z parowozu. Za chwilę ukazał się na schodach dworca Marszałek Piłsudski w otoczeniu swojej świty. Czapki nasze uleciały do góry i kilkadziesiąt młodych głosów rozbrzmiało mocnym:

— Niech żyje! Niech żyje!...

Automobile blisko podstawione znieruchomiały w oczekiwaniu. Marszałek w jasnobłękitnym mundurze schodził ze stopni dworca. Srebrne i złote orderki na błękitnym mundurze błyszczały jak małe, miniaturowe słońca. Wolnym krokiem podszedł do odkrytego, eleganckiego samochodu. Nie wiemy, co było na peronie po wyjściu z wagonu, jakie były powitania. Wszystko jednak wskazywało na to, że Pan Marszałek śpieszył się i nie zamierzał nam poświęcać swojego czasu.

Zasiadł w samochodzie. Za nim w następnych automobilach — świta. Przy nieustających naszych okrzykach przygotowywały się samochody do odjazdu. Wolno, badawczo przypatrywał nam się Pan Marszałek. Salutował w odpowiedzi na nasze powitania. Niemal każdemu z nas zdawało się, że poczuł na sekundę to przenikające, badawcze wejście.

Czy dlatego, że byliśmy jeszcze bardzo mali a Pan Marszałek dorosły, czy też może dlatego, że samochody stały na nieco wyższym miejscu, niż my — wydawało nam się, że Pan Marszałek zjeżdża do nas z jakiejś wysokości, z wiosennej jasności: wielki, błękitny. Samochody ruszyły z miejsca. Wolno, bardzo wolno. Gdy wyjechały ze szpaleru — żywiej wysunęły się naprzód. Skręciły w kasztanową aleję, by minąć miasteczko, wyjechać na szosę wiodącą do Płocka.

Dla większości z nas była to jedyna okazja w której widzieliśmy tak blisko Marszałka Piłsudskiego, w której każdy z nas czuł na sobie jego wzrok. I taki już pozostał na zawsze — wielki, błękitny, legendarny. Później nie jeden z nas widział Pana Marszałka wielokrotnie: na Polu Mokotowskim podczas rewii wojskowej lub wreszcie tylko na dodatkach filmowych PAT-a. Lecz nic nie da się porównać z tem pierwszym wrażeniem w miasteczku prowincjonalnem, kiedy był tak blisko — o dwa kroki od naszego szpaleru.

S. S.



W dzień majowy ten byliśmy wszyscy, cała wieś, tam przy rampie, wieczorem. Chłodny powiew szedł ku nam od Wisły czarna ciemność zaległa nad torem.

Szły godziny, a myśmy wciąż trwali w tem czekaniu i z sercem ściśniętem, wypatrując, czy już z mrocznej dali nie pojawi się pociąg za skrzętem.

W tłumie szepty i długie pogwary o Nim, że był wielki, że sławny,

że człowiekiem największej był miary, królom równy, bohaterem dawnym.

I że teraz tutaj zostali, jak bez ojca... Wtem z mroków i ciszy łoskot ozwał się huczący wдали. To parowóz się zbliżył i dyszy.

Łuna zwolna srebrna się ukaże. Zmilkli w tłumie wszyscy, starzy, mali i pobladli naraz wszystkie twarze. Serce bije. Młotem w skroniach wali.

Chwila... Gaśnie już obraz widmowy,
jak cud piękny, jak sława błyszczący.
Myśmy stali z zamarłemi słowy.
Zapadł w wieczność. Zostaliśmy—drżący.
Stefanja Bądkowska

LŚNIĄCE BUTY STRZELCA FRANKA

najbliższy, najukochańszy Komendant Strzelecki usunął się w cień swego dworku w Sulejówku, że zmęczony trudami rządzenia Polską, nie piastował w tym czasie żadnego urzędu w Polsce. To wszystko nic nie znaczyło dla Franka. Piłsudski był Wielkim Marszałkiem, był Naczelnym Komendantem, był Najwyższą Osobą w Polsce.

Więc coś dziwnego, że wszyscy strzelcy po ciężkiej, całodziennej pracy zarobkowej ćwiczyli z zapalem wytrwale, aż do siódmego potu, byle w Sulejówku zaprezentować swą strzelecką sprawność.

Nareszcie przyszedł tak gorąco oczekiwany dzień 19 marca, dzień św. Józefa. Od tygodnia, jakby zamówiona przez Główną Komendę Strzelecką, panowała prześliczna pogoda.

W wiosennem słońcu lśniły bagnety karabinów, błyszczały radośnie oczy strzelców, a wszystko gasiły połyski butów Franka.

Z pieśnią powstańców:

— Hej strzelcy wraz! nad nami Orzeł Biały — wkroczył oddział do Sulejówka i sprawnie a dziańsko stanął na placu przed skromnym dworkiem Marszałka.

Tu obywatel Franuś wyjąwszy z plecaka cały komplet szczotek przede wszystkim odkurzył i doprowadził do należytego połysku swoje znakomite buty.

Wołomiński oddział przyszedł naj-
pierwszy. Zasięgnięto języka, kiedy
można będzie złożyć życzenia.

Szczególnie niepokoił się Franuś, czy aby zobaczy Marszałka, choćby zdaleka, choć na chwilę.

Wywiad przeprowadzony na miejscu dał bardzo pomyślne wiadomości.

Od 1 marca, gdy zapadła owa historyczna dla wołomińskiego oddziału strzeleckiego uchwała zarządu — złożenia życzeń Pierwszemu Marszałkowi Polski osobiście przez cały oddział, aż do 4 godziny rano 19 marca kiedy nastąpił odmarsz do Sulejówka obywatel Franek i do fabryki i na ćwiczenia chodził w jakichś starych zniszczonych trepkach.

A buty codziennie czyścił, szczotkował, odkrywał i usuwał coraz to nową niedostatecznie połyskliwą plamę.

Bo jakżeż stanąć przed obliczem Marszałka, przed oczyma Samego Najwyższego Komendanta wszystkich strzelców w Polsce w źle wyczyszczonym obuwii, w nieodpowiednio czystym mundurze?

To nic, że Wielki Marszałek i ten

Marszałek zdrów, życzenia będzie przyjmował od godziny 11. A co najciekawsze, jest jedno okno w domku, gdzie Marszałek rad przesiaduje razem z córkami i o ile przekraść się cicho i ostrożnie, to można Go zobaczyć choć zdaleka.

Najmniejszy strzelec Franuś Gajcy i najwysmuklejszy Stach Włodarski wcisnęli się do ogrodu i powrócili radośni, zaklinając się na honor strzelców, że widzieli sylwetkę Marszałka w owym oknie.

Nadeszła godzina 11. Wszystkie oddziały strzeleckie ustawiły się w czworobok.

W szarej strzeleckiej kurtce wyszedł Marszałek, przyjął raport od komendanta głównego, przy radosnych okrzykach powitalnych obchodził wprężone na baczność szeregi strzeleckie.

Jego stalowe oczy spod gęstych wiszących brwi patrzyły ciepło, choć zda się surowo w wierne, oddane Mu na śmierć i życie oczy strzelców.

Przed każdym oddziałem Marszałek przystawał, pytał skąd, ilu strzelców liczy oddział, jak dawno założony, i t. p. Przed wołomińskim oddziałem zatrzymał się dłużej i o dziwo! przystanął jeszcze raz na lewym skrzydle, gdzie stał najmniejszy strzelec. Siwe oczy Marszałka zmierzyły od stóp do głów wprężonego obywatela Franka.

— Ile lat macie, obywatelu? — zagadnął Komendant.

— Melduję posłusznie, Panie Marszałku, szesnaście skończonych — wyrecy-

wspomnieniom i opowiadaniom nie było końca. Jeden obywatel Franek do stojnie milczał.

Dopiero na rynku w Wołominie po skończonej odprawie przemówił, pokazując na swe mocno zakurzone obuwie.

— A ja Wam powiadam, że On to zauważył... i zrozumiał...

A że Franuś miał w tym momencie trochę wilgotne oczy, więc, żeby nikt tego nie spostrzegł, odwrócił się na pięcie i odszedł bijąc mocno buciorami.

1000 U R N

Ziemie sypaną na Sowińcu na kopiec Marszałka Józefa Piłsudskiego przywieziono z całej Polski—ze wszystkich tych miejscowości, które są związane z historią naszej Ojczyzny, przywożono z pobojozisk i z grobów bohaterów. Przywożono nietylko z kraju ale z całego świata — ze wszystkich lądów, gdzie tylko żyją Polacy.

Przywożono ją w najrozmaitszych urnach. Urn tych było bardzo dużo, ale

ponieważ trudno było je wszystkie pomieścić, więc na wystawie urn, którą urządzono w Krakowie jest ich tylko tysiąc. Są one bardzo różne — są bogate i ubogie, niektóre bardzo piękne—niektóre zrobione własnoręcznie przez dzieci, przez ludzi ze wsi — wszystkie zaś przyniesione były z sercem pełnym miłości dla Marszałka.

Trudno opisać jak wygląda każda urna, więc opowiem wam tylko o nie-

model tężni ciechocińskiej i z Borysławia — urna w postaci małej wieży szybu naftowego.

Górnicy z kopalni węgla, ze Śląska przynieśli na kopiec ziemię w urnach wykutych w bryłach węgla, górale w skrzynkach drewnianych z kosodrzewiny. W jednej z takich skrzynek jest ziemia spod domu, w którym mieszkał Marszałek w Zakopanem, w r. 1914. Ziemię ze wszystkich pobojuwisk z okresu walk legionów złożyły wszystkie koła legionowe w jednakowych urnach zrobionych z pocisków armatnich, a w bardzo pięknych prostych urnach przyniesiono ziemię ze stoków Cytadeli Warszawskiej, z miejsca straceń. Są też dwie bardzo stare urny — popielnice prasłowiańskie, bo aż z przed 3 tys. lat, oraz urna zrobiona z menażki piechoty szwedzkiej z r. 1867.

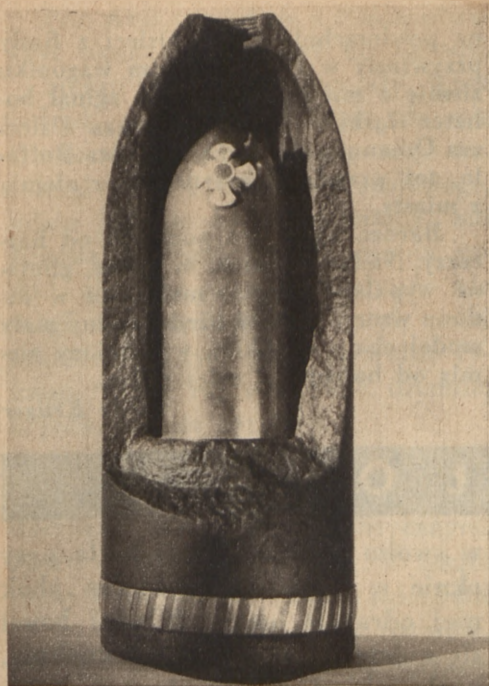
Poza temi wszystkimi urnami, w których przyniesiono ziemię z całej Polski, są także i urny przywiezione z zagranicy, z innych lądów, z krańców świata. Pierwszą garścią ziemi, która przybyła z obczyzny, była odrobina ziemi przesłana przez Polaków aż z Australji. Ziemia ta zawarta była w pudełku od zapalek. Potem Polacy z Australji przysłali urnę z drzewa cedrowego, wypełnioną ziemią z Góry Kościuszko. Przywieziono też ziemię i z

których. Bardzo dużo jest więc pięknych urn zrobionych z pocisków armatnich, są śliczne, malowane kolorowo, wypalane urny z glinki — przywiezione z Huculszczyzny i Podkarpacia, są drewniane, rzeźbione i malowane skrzyneczki, są urny z marmuru, są szczerozłote i są plecione z wikliny koszyckiej.

Bardzo piękna jest urna Ligi Morskiej i Kolonjalnej, w postaci pomnika zakończonego globusem — w której przysłana była ziemia z odzyskanego polskiego brzegu morskiego. — Ziemię z dna morskiego na głębokości 60 metrów przynieśli w urnie — małym kutrze — rybacy z Gdyni. W takim też małym jak zabawka okręciku był przywieziony piasek z wybrzeża oliwskiego, przy którym w r. 1627 toczyła się wielka bitwa morska.

Przywożono też ziemię i z lasów polskich. Leśnicy (Przysp. Wojsk.) przywieźli ją w urnie, która jest zrobiona w kształcie wielkiej szyszki. Ziemia z Białowieży zawarta była w wydrążonym pniu drzewa, a ziemię z mogił poległych w puszczy kurpiowskiej przywieziono w urnie w postaci chaty kurpiowskiej. Jest też urna z Ciechocinka—





Ameryki, zewsząd, gdzie tylko przebywają Polacy. A więc z Rosario w Argentynie, z Pueblo Nuero, z miasta Santa Fé w Nowym Meksyku, z La Plata, ziemię z różnokolorowych gór Grand Canyon w stanie Arizona, ziemię z osiedli polskich w Kanadzie wraz z kawałkami złotodajnej rudy i bryłę węgla

z Kanady z szybu Wiktorja. Przybyła do Polski i garść ziemi z Madeiry, gdzie przebywał Marszałek i z Holandji, od mieszkających tam Polaków, ze Szwajcarii, z Paryża — z grobu Mickiewicza, i Kniaziewicz a i ziemia z Palestyny, przywieziona w urnie arabskiej przez oficerów i załogę s/s. „Polonja”. Ponadto są skały i ziemia z Andów. Atlasu, Szpitzbergu i Kaukazu — gdzie tylko dotarli Polacy.

W kasetce z drzewa rosnącego na San Domingo statek szkolny „Dar Pomorza” przywiózł ziemię zebraną z Australji, Azji, Afryki i wyspy Św. He-



leny. Najdziwniejszą urną, wśród tych wszystkich zdaleka przywiezionych, jest wydrążona i wypełniona ziemią płyta z rafy koralowej z Florydy.



Nie brak też i urn od dzieci. Jest więc bardzo dużo urn od dzieci ze szkół powszechnych. Jest urna od dzieci szkół powszechnych miasta Lidy — była w niej ziemia zebrana z grobów poległych w boju o Lidę. Dzieci ze szkoły w Orzechowcu przywiozły urnę z wyrzeźbioną głową Marszałka. Dzieci ze szkoły powszechnej w Chabówce przywiozły ziemię w ślicznym czerpaku, a dzieci szkolne z Rudy Śląskiej w ślicznej urnie w kształcie małego wagonika wykutego z węgla. W takich właśnie wagonikach przewozi się węgiel z kopalń

na powierzchnię ziemi. Dzieci z Rudy przywiozły w tym małym wagoniku ziemię z miejsca, w którym zginął bohater śląski — Wincenty Janas. Dzieci z Oceanu, z Ameryki, z miasta Buffalo, też przysłały skrzyneczkę z ziemią z miasta.

Bardzo wiele urn pochodzi od harcerzy. Niektóre z nich, to proste, gliniane wypalane garnki, malowane w ludowe wzory. Jest też bardzo ładny mały model chaty wiejskiej, wypełniony ziemią od harcerzy z całej Polski.

Marja Krüger

TO BYŁ ON

Stefanowi wydawał się dziwnie podniecony i niespokojny i teraz dopiero chłopiec uwierzył, że pan Ami boi się ludzi. Nie powiedział mu tego, tylko zaczął bacznie obserwować wszystkie jego postęпки i słowa. Wkrótce złapał go na tem, że czasami mówi:

— My tu w Polsce, albo: Dla nas Polaków.

Wtedy Stefan zaczął go umyślnie wypytywać o Francję i okazała się, że pan Ami mało zna swój rodzinny kraj, spostrzegł jednak badanie Stefana i zapytał z uśmiechem:

— Cóż się tak nagle zainteresowałeś Francją?

— Przecież to pana ojczyzna, a pan jest moim przyjacielem — odparł spokojnie Stefan, ale się zaczerwienił i odwrócił oczy.

Pan Ami popatrzył na niego uważnie, a potem wyjaśnił:

— Ja, widzisz, więcej włóczyłem się po świecie, niż mieszkałem we Francji.

Jednego popołudnia zaszedł wypadek, który rozjaśnił Stefanowi w głowie.

Pan Ami odpoczywał po obiedzie

w swoim pokoju. Mama szyła przy oknie w stołowym, a Stefan obok niej odrabiał lekcje. Władysław bawił się z dziećmi ze wsi przed kuchnią, nagle wbiegł do pokoju i zapytał:

— Mamo, co to znaczy „ziandary”?

Mamie ręce z robotą opadły na kolana, zbladła i zapytała:

— Jakto „ziandary”?

— Bo Stasiek mówi, że we wsi są „ziandary”, a ja nie wiem, co to takiego.

Mama wstała i wyszła do sieni, skąd zawołała Stefana. Chłopiec jednym skokiem znalazł się przy niej. Pochyliła mu się do ucha i szepnęła:

— Uprzedź pana Ami, że we wsi są żandarmi, niech ucieka przez okno zaroślami nad strugą do lasu, a sam wróć do nauki, aby nie budzić podejrzeń.

Stefanowi zakręciły się myśli w głowie, ale nie tracił czasu, tylko pobiegł do pana Ami i szepnął od progu:

— Żandarmi we wsi, niech pan ucieka przez okno zaroślami do lasu.

Pan Ami zerwał się z łóżka, otworzył okno i wyskoczył do ogrodu.

Stefan stał, jak skamieniały. Wnet jednak przypomniał sobie, że nie trzeba budzić podejrzeń, więc zamknął okno i wrócił do stołowego, gdzie już nie było ani mamy, ani braciszka. Siadł do odrabiania zadań, ale ręce tak mu drżały, że nie mógł utrzymać pióra. Wstał, nalał szklankę wody i pijąc ją wolno łykami, starał się opanować drżenie, a jednocześnie myślał:

— To tak, to tak: pan Ami nie jest Francuzem, tylko Polakiem i widocznie działaczem politycznym, skoro się boi żandarmów. W takim razie poco doktor Kazio skierował go do nas? Przecież chyba rozumie, że nasz dom musi być podejrzany

policji. A może dlatego przysłał tu pana Ami, że mieszkamy nad granicą Poznańskiego i w razie niebezpieczeństwa on się tam schroni. Dlaczego jednak siedzi w Polsce? Nie widzę, aby działał skrycie. Kto wie, czy nie działa, tylko ja tego nie spostrzegam.

Tok myśli przerwało mu wejście matki, była zdyszana i uśmiechnięta.

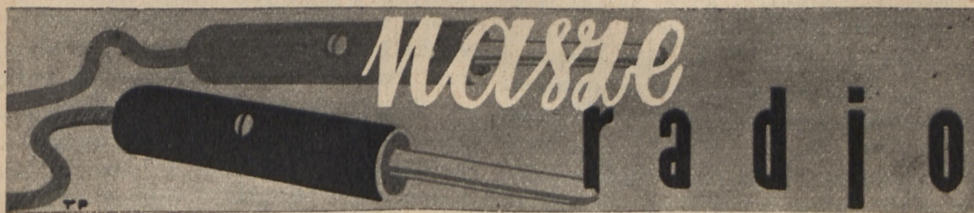
— Niemądre dzieciaki tyle nam strachu napędziły, żadnych żandarmów we wsi niema, tylko brat kowala wrócił z wojska, a Stasiiek wziął go za żandarma.

Siadła przy oknie i sięgnęła po robotę.

— A on? — przypomniała sobie nagle.

c. d. n.

B. Włodkówna



W pierwszą rocznicę śmierci Marszałka, Wskrzesiciela niepodległej Polski, we wtorek, 12 maja, będzie transmisja uroczystości pogrzebowych z Wilna. Myślę, że każdy, kto ma radio w domu lub w szkole, pilnie wysłucha nadawanych uroczystości.

W tym dniu rannej audycji nie będzie, dopiero o godzinie 18 min. 45 prezes Akademji Literatury, Wacław Sieroszewski opowie wspomnienia o Marszałku i Jego Matce. Tytuł tej pogadanki: „Matka i syn”.

We środę, 13 maja od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 radio nada audycję z cyklu: „Wędrowki dokoła globu” pod tytułem: „Finlandja nazywa się Suomi”. Usłyszycie wiele ciekawych szczegółów o życiu i obyczajach Finów, a także o samym kraju.

We czwartek, 14 maja o godzinie 16.00 oczekuje Was pogawędka p. t.: „Wiosna zwierząt w niewoli”. Prof. St. Sumiński powie, co słyhać teraz u mieszkańców Zoologii, jakie nowe zwierzęta przybyły, jakie się urodziły i jak czują się one w niewoli. Pogadanka zostanie nadana w formie interesującej rozmowy.

W piątek, 15 maja o godzinie 12 min. 15. Radio zaprasza Was na audycję poświęconą Stanisławowi Moniuszce. Ciekawe opowiadanie o życiu i twórczości utalentowanego kompozytora urozmaicać prześlizne, melodyjne pieśni, z których niejedną napewno dobrze znacie.

A od godziny 16 m. 45 do godz. 17.00 słuchajcie pogadanki podróżniczej p. t.: „W murzyńskiej stolicy

Monrowji". Monrowja to stolica jedynej murzyńskiej republiki, Liberji i o niej mieliście w m-cu lutym trochę wiadomości podanych przez radio. Teraz dowiecie się, jak żyją i rządzą się mieszkańcy tej stolicy.

W sobotę, 16 maja o godz. 16 minut 15 fala lwowska przyniesie „Wesołą audycję”, pełną humoru i radości.



Pięknie obchodzili Święto Lasu moi czytelnicy z klas VI i VII szkoły powsz. w Kamionce, gdyż w tym dniu zasadzili na pustkowiu las.

Ucieszył mnie Wasz list i opis i wierzę, iż wszyscy będziecie dobrymi opiekunami zasadzonego przez Was samych lasu.

Uczniowie klasy VI z Bielaw przygotowali ładną uroczystość dla młodszych klas na dzień Święta Lasu. Bardzo mi się podobał cały program tej uroczystości.

Dowiedziałem się, że uczennice i uczniowie klasy V z Zakrzewia na wyścigi pracują teraz w ogródku szkolnym. Nie zapominajcie napisać mi po wakacjach, kto miał większy dochód, czy dziewczynki z ogródka kwiatowego, czy chłopcy z warzywnego.

Czytelnikom z Kowalewa dziękuję za opisy ważniejszych zdarzeń z Waszego życia szkolnego. Wdzięczny Wam jestem, że umożliwiacie czytanie „Płomyka” tym dzieciom w szkole, które nie mają pieniędzy na opłacanie piśemek.

Pozdrawiam mile klasę VII z Wilkowic i dziękuję serdecznie za paczkę listów i życzenia. Może w przyszłym roku szkolnym też napiszecie do mnie.

W niedzielę, 17 maja od godz. 16.00 do godz. 16 min. 15 korespondenci „chwilki pytań” otrzymają wiele ciekawych odpowiedzi na liczne zapytania.

A w poniedziałek, 18 maja od godz. 18 min. 30 do g. 18 m. 40 na zakończenie tygodnia radiowego „skrzyneczka pocztowa” powie, co piszą Wasi rówieśnicy z różnych stron Polski.

Uczniów klasy V-a w Kochłowicach zawiadamiam, iż nie mam strojów ludowych z tych miejscowości w Polsce, które wymieniliście. Jeżeli dostanę rysunki lub karty ze strojami z Wołynia lub Podola, to zaraz Wam je wyślę.

Która szkoła lub klasa zaopiekuje się biednymi dziećmi szkolnymi na Kresach Wschodnich i prześle tam przeczytane książki, numery Płomyków, Płomyczków lub trochę ubrań i obuwia?

Adresy szkół na Kresach Wsch.:

Szkoła powszechna w Baksztach, pow. wołyński i szkoła powszechna w Dworcu, poczta Nowojelnia, woj. nowogródzkie.

Uczennice klasy VI-a szkoły powsz. nr. 2 w Wołkowysku, chętnie nawiążą korespondencję z klasą VI szkoły żeńskiej w Krakowie.

Zbigniew Żydkiem, ucz. kl. VI szkoły powsz. w Kuflewie, poczta Mrozy, woj. warszawskie, pragnie korespondować z uczniem klasy VI z Gdyni i prosi o zgłoszenia.

Zofja Marcinkowska, ucz. kl. VI zamieszkała w Sepólnie przy ul. Hallera nr. 32 na Pomorzu, chętnie będzie wymieniać listy z rówieśniczką z innej dzielnicy Polski.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS 1.



REBUS 2.



ZAGADKA 1.

Serce w Wilnie spoczywa,
ciało w Krakowie spoczywa,
a w całym kraju pamięć
wdzięczna i żywa.

ZAGADKA 2.

Na szczycie skały
zamek wspaniały
i dumny.
W jego podziemiach
godne wspomnienia
królów i wodzów trumny.

ZAGADKA 3.

Ten sam ma początek,
kochani moi —
i rzeka, i miasto,
co nad rzeką stoi.
Dawna to królów
i książąt stolica,
dziś ją serce Wodza
wiernością zaszczyca.

ZAGADKA 4.

W kraje dalekie
przed przeszło wiekiem
szły walczyć
w dalekie strony.
Dawniej bez ziemi,
dziś osieroceni.
Jakież to wojako?

ZAGADKA 5.

Nie zegar, a bije.
Bije — a nie żyje.
Kto do niego przyjdzie,
nie ucieka, a pije.

SZARADA.

Kto mocny w geografji,
tę szaradę rozwiązać potrafi.
Pierwsza — trzyliterowa,
to Belgji pierwsza połowa.
Druga — dwuliterowa
w norweskim kraju się chowa.
A trzecia — najtrudniejsza,
szuka swojego miejsca
wśród *niderlandzkich* równin
Całość — to pałac w Warszawie,
poświęcony życiu i sławie
jednego z największych Polaków,
którego grób zdobi Kraków.

ROZWIĄZANIA Z N-RU 34.

Rebus 1: rybak sięga siecią do dna
rzeki, 2—dookoła wysokiej góry stoi
las. Zagadka 1—sosna, 2—most, 3—nie-
zapominajka, 4—malwa, 5—łubin.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIĄŻEK.
Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

